Nr. 14. Lwów, 15 lipca 1899. Rok XXII.



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

PO ZJEŹDZIE.

Liczniejszym, niż w latach poprzednich, udziałem zaznaczył świat łowiecki, że nasze zjazdy łowieckie uzyskały już prawo obywatelstwa — z czego tylko szczerze cieszyć się można.

Zjazd odbył się — przebieg jego był normalny, myśli nowych dość podniesiono — Wydział otrzymał jednogłośnie uchwalone uznanie za prace koło rozwoju Towarzystwa i bez fałszywej skromności może sobie powiedzieć, że na uznanie takie zasłużył. Zgromadzeni, o ile się nam zdaje, rozeszli się z uczuciem zadowolenia, wydawaćby się zatem mogło, że po stwierdzeniu tych okoliczności nie pozostaje nam nic więcej do powiedzenia.

Z obowiązku jednak naszego, jako Redakcyi, uważamy za stosowne poczynić tu kilka uwag, które zdaniem naszem musiałyby się przyczynić do dalszego podniesienia się zjazdów i zapewnienia jak najdodatniejszych wyników ich pracy. Nie przesądzając ewentualnym w tej mierze uchwałom Wydziału Towarzystwa, notujemy tutaj z naszego obowiązku dziennikarskiego te uwagi, które zostały poczynione po za obradami przez poważnych członków zgromadzenia. Poczyniono je na tle dotychczasowych doświadczeń i każdy przyznać musi, że nie są one pozbawione słuszności.

Dotychczasowe nasze zjazdy łączą w sobie trojaki charakter. W jednej części są one niejako popisem Wydziału, jako reprezentacyi Towarzystwa, z tego, co ona przez pewien okres czasu zdziałała, w drugiej, a to o ile zjazd jest zgromadzeniem, na które każdy myśliwy, nie będący członkiem Towarzystwa, ma prawo przybyć i głos zabierać, jest ogólnym wiecem myśliwych, który pozwala na niczem nieskrępowane wyrażanie zdania swojego w sprawach łowiectwa — w trzeciej zaś, to jest w strzelaniu, jest jedyną zabawą, jaką

dotychczas Towarzystwo, mające w myśl statutu bardzo poważne, ogólne cele, korzystając z przysługującego mu zresztą prawa, członkom swoim ofiarować może. Otóż słyszeliśmy zdania, że jeden dzień i tak podzielony, jak dotychczas, na wszystko to, czego od Zjazdu oczekujemy, daje za mało czasu. Wspomniano, i zdaniem naszem słusznie, że strzelanie urządzone przed południem byłoby wygodniejszem, a zebraniu, odbytemu po południu, możnaby więcej czasu poświęcić, coby było tylko z korzyścią dla obrad. Gdyby okazała się potrzeba, możnaby te obrady przeciągnąć na dział następny. W takim wypadku sprawy ważniejsze wymagające staranniejszego opracowania, jak np. zmiany statutu lub inne zasadnicze sprawy, mogłyby być powierzone komisyi, która miałaby czas przygotować wnioski i przedstawić je zgromadzeniu.

Podniesiono także myśl urządzania zjazdów delegatów Towarzystwa. Zapewniano nas ze strony kompetentnej, że delegaci takiemu wezwaniu Wydziału zadość uczyniliby chętnie, a że zjazdy takie bardzoby się do jednolitego i energicznego postępowania naszych reprezentantów na prowincyi musiały przyczynić, udowadniać nie potrzebujemy. Cały szereg spraw mógłby być na takich zjazdach załatwiony — a sprawy ważniejsze, które należą do kompetencyi walnego zgromadzenia, mogłyby być na takich zjazdach przedyskutowane i tak przygotowane, że walne zgromadzenie miałoby zadanie bardzo ułatwione.

Kto wie, czy sprawa utworzenia Związku Towarzystw łowieckich traktowana przez wnioskodawcę i referenta jej p. Krobickiego z tym zapałem, jaki Go przy wszystkich jego pracach cechuje, w razie, gdyby zjazdy delegatów były wprowadzone w życie, nie byłaby już zupełnie gotową do uchwały? Przyznajemy, że w sprawie tej widzimy wiele dobrego dla rozwoju łowiectwa, i chociaż nie uważamy zupełnie za potrzebne, żeby Towarzystwo zmieniało swój dotychczasowy charakter, sądzimy, że może ono stać się niejako macierzą dla Towarzystw prowincyonalnych, które w ten sposób przystąpiłyby do związku racyonalnego myśliwstwa, oddając tem przysługę ogólnej sprawie łowiectwa, a z drugiej strony miałyby pewne bezpośrednie dla siebie korzyści. O ile nam wiadomo, nie ma kraju, któryby łowiectwo w ten sposób miał zorganizowane, jak szanowny p. wnioskodawca sobie przedstawia — bylibyśmy pierwsi, którzyby sprawę łowiecką w ten sposób traktowali i z pewnością nie potrzebowalibyśmy tego żałować, że tu poszlibyśmy całkiem nową drogą.

Nasuwa nam się jednak tutaj uwaga, którą musimy uczynić. Szanowny wnioskodawca i interpelant w zeszłym i w tym roku, choć w formie najzupełniej poprawnej, zdawał się wyrzucać Wydziałowi Towarzystwa, że za mało ma kontaktu z prowincyonalnemi Towarzystwami myśliwskiemi. Nasuwa nam się pytanie, czyby zarzutu tego nie należało zwrócić do tych właśnie Towarzystw? Towarzystw tych istnieje podobno znaczna liczba — jednakże tylko kilka z nich jest w kontakcie z Towarzystwem krajowem, do którego w charakterze członków przystąpiły. Wydział zwracał się już kilka razy w dawniejszych czasach do tych Towarzystw, których istnienie i adresy były mu znane, zachęcając je do łączenia się z Towarzystwem. Wezwania takie jednak przeważnie zostawały bez odpowiedzi. Czyby nie było dobrze, żeby które z Towarzystw, ożywione chęcią doprowadzenia do skutku myśli p. Krobickiego, ze swojej strony zachęciło bratnie Towarzystwa do wspólnej akcyi? Możeby to pewniej odgłos znalazło, niż wezwanie ze strony Wydziału Towarzystwa łowieckiego.

Tych kilka uwag rzuciwszy przystępujemy do zdania sprawy z III-go Zjazdu łowieckiego.

* * *

W sali Dyrekcyi lasów i dóbr skarbowych, w obecności 58 zgromadzonych, otwiera o godzinie 11¼ przed południem posiedzenie wiceprezes Towarzystwa, ordynat Czarkowski-Golejewski. Prezes JE. hr. Roman Potocki, który na posiedzenie przybyć nie mógł, nadsyła telegram z „Szczęść Boże!“ dla obrad Zjazdu. Wśród ciepłego przemówienia Przewodniczącego, poświęconego naszym zmarłym śp. Ustrzyckiemu, Gottlebowi-Haszlakiewiczowi i Habichtowi, a na pierwszem miejscu byłemu członkowi Wydziału Towarzystwa i przewodniczącemu na ostatnim Zjeździe hr. Stefanowi Zamoyskiemu, oddają zgromadzeni przez powstanie cześć pamięci tych wiernych towarzyszy z pod sztandaru łowieckiego.

Przewodniczący wskazuje następnie w krótkości na wynik prac Wydziału w roku ubiegłym, dziękuje delegatom za ich współdziałanie i podnosi wielkie zasługi członka Wydziału, sekretarza, p. Stanisława Miziewicza, które położył on przy pracy nad reorganizacyą Towarzystwa.

Przed przystąpieniem do porządku dziennego wnosi referent sprawy utworzenia Związku Towarzystw łowieckich, p. Leon Krobicki, aby punkt czwarty porządku dziennego, o tym właśnie przedmiocie traktujący, wziąć przed innemi sprawami pod obrady, a mianowicie z tego powodu, że zdaniem mówcy należałoby wybrać do sprawy tej komisyę, którаby w czasie Zjazdu zastanowiła się nad wnioskami referenta i pewne szczegóły opracowała, tak, żeby Walne Zgromadzenie przy rozprawie zanadto w szczegóły zapuszczać się nie było zmuszone. Po żywej dyskusyi, w której zabierają głos pp. Krogulski i Korytowski, uchwalono sprawę utworzenia Związku przekazać Wydziałowi do bliższego zbadania, przyczem ma Wydział ref. Krobickiego do obrad swoich zaprosić, poczem ma przedłożyć tę sprawę na Walnem Zgromadzeniu, które należy dla tej sprawy osobno zwołać.

Jako drugi punkt porządku dziennego następuje Sprawozdanie z czynności Wydziału Towarzystwa za czas od 4. lutego 1898 do 16 czerwca 1899. Uwolniony od czytania referent p. Miziewicz, odczytuje wnioski. Uchwalono przyjąć je do wiadomości a na wniosek p. delegata Skupniewicza uchwalono jednomyślnie wyrazić uznanie Wydziałowi i Redakcyi za skuteczną pracę nad rozwojem Towarzystwa i rozwojem wydawnictwa. Na interpelacyę p. L. Krobickiego do protokołu, a mianowicie, czy Wydział, jak to było poleconem mu uchwałą ostatniego Walnego Zgromadzenia, zwrócił się do Towarzystw łowieckich w kraju z zapytaniem o opinię w sprawie zmiany ustawy łowieckiej, odpowiada p. Miziewicz, że Wydział otworzywszy obszerną dyskusyę w łamach *Łowca* nad tą sprawą, dał dostateczną

sposobność do przedyskutowania jej i do wyczerpania, o ile to jest w dzisiejszej praktyce możliwem, wszystkich dostrzeżonych usterek. Wydział przyjmował i umieszczał w *Łowcu*, a potem w miarę uznania słuszności zużytkował we wniesionej do W. Sejmu petycyi wszystkie głosy, jakie tylko do jego wiadomości doszły i dla tego specyalnego zapytania do Towarzystw myśliwskich nie wystosowywał.

Zamknięcie rachunków za r. 1898 tak jak ono podane zostało w sprawozdaniu (ref. p. Szczerbicki) przyjęte zostało do wiadomości, poczem udzielono Wydziałowi jednogłośnie absolutoryum z zarządu funduszami Towarzystwa za ten rok. Preliminarz uchwalono bez dyskusyi w myśl wniosku przez Wydział w sprawozdaniu przedłożonego.

Nastąpiły wybory. Ponieważ Członek Wydziału p. dr. Gustaw Mauthner zrzekł się w dniu posiedzenia tej godności, miało Zgromadzenie wybrać sześciu członków Wydziału i trzech zastępców członków, z tych dwóch na miejsce losem do ustąpienia wyznaczonych. Po chwilowej przerwie posiedzenia, zarządzonej celem umożliwienia Wydziałowi powzięcia uchwały, co do propozycyi na wybór szóstego członka Wydziału, wybrano w myśl wniosku Wydziału pp.: Witołda Korytowskiego, Alfreda Dzikowskiego, Piotra Hirscha, Stanisława Matkowskiego, Stanisława Piegłowskiego i hr. Stefana Szembeka członkami, p. Edwarda Nahlika zaś i wylosowanych p. Maryana Hamerskiego i Jerzego Piwockiego zastępcami członków Wydziału. Wniosek, zdążający do wybrania syndykiem Towarzystwa jednego z członków Tow., do którego w ostatnich czasach coraz częściej udawano się o opinię w sprawach Towarzystwa i członków, cofnął wnioskodawca p. Krogulski, wobec wyjaśnienia przewodniczącego, że sprawa ta należy do kompetencyi Wydziału, który ją niewątpliwie załatwi w myśl tego zupełnie, zdaniem Przewodniczącego, uzasadnionego wniosku. Z początku omawiano wnioski pisemne członków, a mianowicie wniosek delegata, dra Henryka Szarskiego w sprawie inicyatywy celem utworzenia klubu hodowli psów myśliwskich i wniosek delegata dra Jana Zdunia w sprawie wyjęcia kozicy z pod bezwzględnej ochrony, pod jaką się ona obecnie w myśl ustawy łowieckiej znajduje. Oba wnioski po dyskusyi, w której zabierają głos Miziewicz, Kisielewski i Skupniewicz odstąpione zostały Wydziałowi do załatwienia.

P. Leon Krobicki żąda wyjęcia bociana z pod opieki i wliczenia go do szkodników, które tępić należy. Wniosek ten popierają pp. Kesselring, hr. Starzeński Leopold i Lewicki. Delegat Jankowski w obszernem przemówieniu wyraża obawę, że wobec istniejącej tradycyi trudno będzie jakąś akcyę ogólną przeciw bocianowi przeprowadzić — że jednak radzi robić tak, jak sam to czyni — mianowicie, kiedy się spotka „sam na sam" z bocianem, wyzywa go na walkę, z której jeden paść musi. Dotychczas ze względu na lepsze uzbrojenie mówiącego, walka ta kończyła się niepomyślnie dla bociana. Jednogłośnie uchwalono starać się o wyjęcie bociana z pod prawa, pomimo tego, że hr. Leopold Starzeński, również przeciwko bocianowi przemawiający, lojalnie wspomniał o jedynej jego zasłudze t. j. o tem, że „przynosi dzieci".

Dalszym wnioskiem pragnie następnie p. Krobicki wywołać uchwałę, polecającą Wydziałowi, aby w sprawach łowieckich więcej odnosił się do prowincyonalnych Towarzystw myśliwskich. Przewodniczący zapewnia wnioskodawcę, że Wydział bez tej uchwały nie omieszka o ile możności jak najściślejsze nawiązać stosunki z temi Towarzystwami, w skutek czego uważa podobną uchwałę za zbyteczną i nie poddaje wniosku pod głosowanie.

Delegat Wysocki wnosi, aby w piśmie, które Wydział ma wystosować do Wydziału krajowego celem uproszenia go o przedłożenie Sejmowi sprawy zmiany ustawy łowieckiej, podniesiono jeszcze następujące trzy punkty: 1) aby przy prolongatach dzierżaw polowania (§. 29. ustawy łowieckiej) zasięgano opinii Towarzystwa, a względnie jego delegatów, 2) aby przy sprzedaży zwierzyny wymagano jej plombowania, a jeżeliby to nie dało się uzyskać, zniesiono kumulatywne certyfikaty, które służą do nadużyć, a polecono zaopatrywać każdą przynajmniej większą sztukę zwierzyny w osobny certyfikat, w końcu 3) aby z §. 35. ust. b) dzisiejszej ustawy usunięto pomyłkę, gdyż w myśl tego paragrafu, tak jak on obecnie brzmi, mogłyby pory ochronne dla zwierzyny ulegać niepożądanym zmianom. Wnioski te, których znakomitego motywowania Zgromadzenie z uwagą wysłuchało, zostały jednomyślnie uchwalone. Przewodniczący podziękował zebranym za przybycie na Zjazd.

Na tem zakończono posiedzenie, na wniosek zaś del. Skupniewicza wyrażono Przewodniczącemu podziękowanie za prowadzenie obrad.

* * *

Po południu na strzelnicy wojskowej odbyło się popisowe strzelanie uczestników Zjazdu łowieckiego o nagrody honorowe. Św. Hubert sprzyjał swym czcicielom. Po kilku dniach słoty zajaśniała pogoda, a dzięki jej zgromadziła się na strzelnicy licznie publiczność. Upał łagodził lekki wietrzyk.

Strzelnica wojskowa na przyjęcie gości w odświętne przybrała się szaty. U wejścia na nią ustawiono bramę z zieleni, przyozdobioną we flagi i z napisem myśliwskim: *Weidmannsheil!* również cała droga od wejścia, aż do werendy, pod którą odbyły się pierwsze dwa strzelania, przystrojoną była we flagi.

Muzyka 24 pp. pod batutą swego kapelmistrza p. Steinera, wybornym koncertem uprzyjemniała gościom pobyt na strzelnicy.

O godzinie ½5, na znak dany przez dra Witołda Korytowskiego, przewodniczącego komitetu urządzającego popisowe strzelanie, rozpoczęły się zawody łowców.

Strzelań było pięć.

W pierwszem strzelaniu kulami do tarcz stałych na odległość 80 kroków o trzy nagrody galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego, wzięło udział 16 osób, a mianowicie pp. major Aleksandrowicz, Tad. Barącz, kap. Bratanitsch, porucznik Goldschmidt, Grünwald, Hamerski, kap. Knapp, Lipiński, A. Mniszek, kapitan Mostowski, kap. Nostadt, Pauli, Pieńczykowski, Raus i Weilenbeck.

Pierwszą nagrodę (garnitur myśliwski do pisania) wziął kap. Mostowski, który zrobił 21 punktów; drugą (zegar z rogów daniela) p. Grünwald za 11 punktów; trzecią (przycisk z bronzu, przedsta-

wiający wyżła z bażantem) p. St. Pieńczykowski za 10 punktów.

Dalej dobre strzały oddali kap. Knapp, który również miał 10 punktów, ale sędziowie orzekli, iż strzały p. Pieńczykowskiego są lepsze, pp. Hamerski, Lipiński, Raus i kap. Aleksandrowicz.

W drugiem strzelaniu kulami do tarcz stałych na odległość 120 kroków o trzy nagrody, wzięło udział również 16 osób, a mianowicie: pp. Aleksandrowicz, Barącz, Boziewicz, Bratanitsch, Goldschmidt, Grünwald, Hamerski, Linderski, Lipiński, Mniszek, Mostowski, Nostadt, Pauli, Pieńczykowski, Przedrzymirski i Raus.

Szczęście i w tem strzelaniu sprzyjało kapitanowi Mostowskiemu, gdyż i tu wziął za najlepsze strzały pierwszą nagrodę: puhar srebrny, dar prezesa gal. Towarzystwa łowieckiego hr. Romana Potockiego. Drugą nagrodę (stolik z przyborami do palenia z rogów jelenich, dar Towarzystwa myśliwskiego im. św. Huberta we Lwowie) wziął p. Linderski, trzecią (róg myśliwski, dar p. Wit. Korytowskiego) kap. Nostadt. Po nich najlepsze strzały oddali pp. Hamerski, kap. Aleksandrowicz, Mniszek i Przedrzymirski.

Do trzeciego strzelania do kul szklanych, stanęło tylko 11 współzawodników, a mianowicie pp. Aleksandrowicz, dr. Beill, Bratanitsch, Goldschmidt, Hamerski, Knapp, Linderski, Mniszek, Nostadt, Pauli, Smutny. Regulamin przepisywał, iż każdy z zapisanych dawał kolejno w porządku alfabetycznym nazwisk po jednym strzale, a kto ze strzelających w pierwszych trzech strzałach dwie kule chybił, odpadał przy strzelaniu do dalszych kul. Wskutek tego przepisu regulaminu po trzech strzałach odpadło siedmiu zapisanych, a pozostali tylko pp. Bratanitsch, Goldschmidt, Mniszek i Smutny. Z nich pierwszą nagrodę (kałamarz z bronzu, sowa na gałęzi dębowej, nagroda dam) wziął p. Mniszek, który w pięciu strzałach zbił pięć kul. Drugą nagrodę (kaseta z bronzu na cygara, dar p. Witołda Korytowskiego) otrzymał p. Smutny, za 4 kule zbite w 5 strzałach. Dwaj pozostali panowie kap. Bratanitsch i porucznik Goldschmidt zbili w pięciu strzałach po 3 kule, musieli więc dalej się rozgrywać i dać jeszcze po jednym strzale. Szczęście sprzyjało p. Goldschmidtowi, który tym dodatkowym szóstym strzałem zbił czwartą kulę, podczas gdy jego współzawodnik chybił. Sędziowie przyznali przeto trzecią nagrodę (wieszadło na broń z głową kozła, dar członka Tow. łowieckiego p. A. Dzikowskiego) por. Goldschmidtowi.

Wielkie zainteresowanie wzbudziło strzelanie czwarte i piąte do tarcz ruchomych, a zainteresowanie to powiększał jeszcze jeden z przepisów regulaminu popisowego strzelania. Oto tarcza ruchoma przedstawiała dzika, do którego przytroczony był jamnik. Regulamin, licząc się z tem, postanowił, iż każdy, kto zamiast dzika trafiłby w przytroczonego do niego jamnika, miał zapłacić 5 zł. kary na zakupno premii dla przyszłorocznego strzelania.

Do czwartego strzelania stanęło dziesięć osób, a mianowicie pp. Aleksandrowicz, Hamerski, starszy radca Klusik, Linderski, Mniszek, Mostowski, Pauli, Pieńczykowski, Przedrzymirski i Remiszewski.

Pierwszą nagrodę za prawdziwie prześliczne strzały, dwa w komorę, razem 47 punktów, otrzymał p. Klusik. Nagrodę tę stanowiła szafa na broń z rogów jelenich, dar wiceprezesa gal. Tow. łowieckiego ordynata Czarkowskiego-Golejewskiego. Drugą nagrodę (pistolet tarczowy, dar wiceprezesa komitetu urządzającego popisowe strzelanie Juliusza hr. Bielskiego) otrzymał p. Mniszek (27 punktów); trzecią (kosz myśliwski z przyborami, dar komitetu urządzającego popisowe strzelanie) kap. Mostowski (22 punktów).

Dalej piękne strzały oddali pp. Remiszewski, Pieńczykowski, Linderski i Przedrzymirski.

W piątem i ostatniem strzelaniu wzięło udział 14 uczestników, a mianowicie pp. Aleksandrowicz, Bratanitsch, Goldschmidt, Grünwald, Klusik, Knapp, Linderski, Mostowski, Mniszek, Nostadt, Pieńczykowski, Przedrzymirski, Remiszewski i por. Wurzinger.

Pierwszą nagrodę (srebrna papierośnica, nagroda dam) za pięć celnych strzałów (38 punktów) wziął p. Mniszek; drugą (kordelas, dar księcia Andrzeja Lubomirskiego) kap. Knapp za 33 punktów. O trzecią nagrodę (rewolwer Gassera w szkatule, nagroda Tow. łowieckiego) kompetowali pp. Grünwald i kap. Mostowski, którzy obaj mieli po 32 punktów. Sędziowie orzekli na korzyść p. Grünwalda, który otrzymał trzecią nagrodę.

Dalej doskonałe strzały dali pp. Goldschmidt, Linderski, Nostadt, Remiszewski, Bratanitsch, Wurzinger, Klusik i Przedrzymirski.

Z kar, które za trafienie jamnika miały być złożone na zakupno premii na przyszłoroczne strzelanie popisowe, nie zebrano ani centa, gdyż żaden z uczestników tych dwóch ostatnich strzelań nie trafił jamnika.

Strzelanie do tarcz ruchomych utrudniało wielce słońce, które świeciło wprost w oczy strzelających i celowanie robiło prawie niemożliwem. Mimo atoli tę przeszkodę świetny rezultat strzelań tych jest dowodem, iż w zapasach na strzelnicy brali udział wyborni strzelcy i że biada tej zwierzynie, która się pod ich lufę dostanie.

Bohaterami popisowego strzelania byli kapitan Mostowski, który wziął trzy nagrody i omal nie czwartą w piątem strzelaniu, oraz starszy radca p. Klusik, który dał tak wybornych pięć strzałów w czwartem strzelaniu do dzika, iż mu ich powszechnie winszowano.

* * *

Obowiązek sędziów pełnili pp. Juliusz hr. Bielski, jenerał porucznik bar. Steininger i p. wiceprezydent krajowej dyrekcyi skarbu dr. Witold Korytowski.

* * *

Sędziom za ich pracę, komendantowi korpusu lwowskiego za odstąpienie na popisowe strzelanie strzelnicy wojskowej i przystrojenie jej na przyjęcie gości, oraz komitetowi urządzającemu popisowe strzelanie, Wydział gal. Tow. łowieckiego składa za naszem pośrednictwem jak najszczersze podziękowanie.

* * *

Tak się zakończył trzeci Zjazd łowiecki, a uczestnicy jego rozchodząc się z żalem, że te tak piękne chwile prędko minęły, żegnali się serdecznem: do widzenia na czwartym Zjeździe w roku przyszłym.

* * *

Idea zjazdów, zainicyowana przy przeprowadzeniu reorganizacyi galicyjskiego Tow. łowieckiego, zyskuje, jak dowiódł zjazd ostatni, coraz więcej zwolenników, wśród towarzyszy z pod sztandaru św. Huberta. Rezultaty dodatnie Zjazdów muszą dla nich pozyskać nawet najpesymistyczniej usposobionych łowców i da Bóg, że niezadługo już uczestników Zjazdu liczyć będziemy na setki i tysiące i że dzięki dyskusyi, wymianie zdań i wnioskom uchwalanym na Zjazdach, łowiectwo w kraju się podniesie, rozwinie i stanie na takiej wyżynie, jaką mu tradycya wskazuje i na jakiej stać powinno.

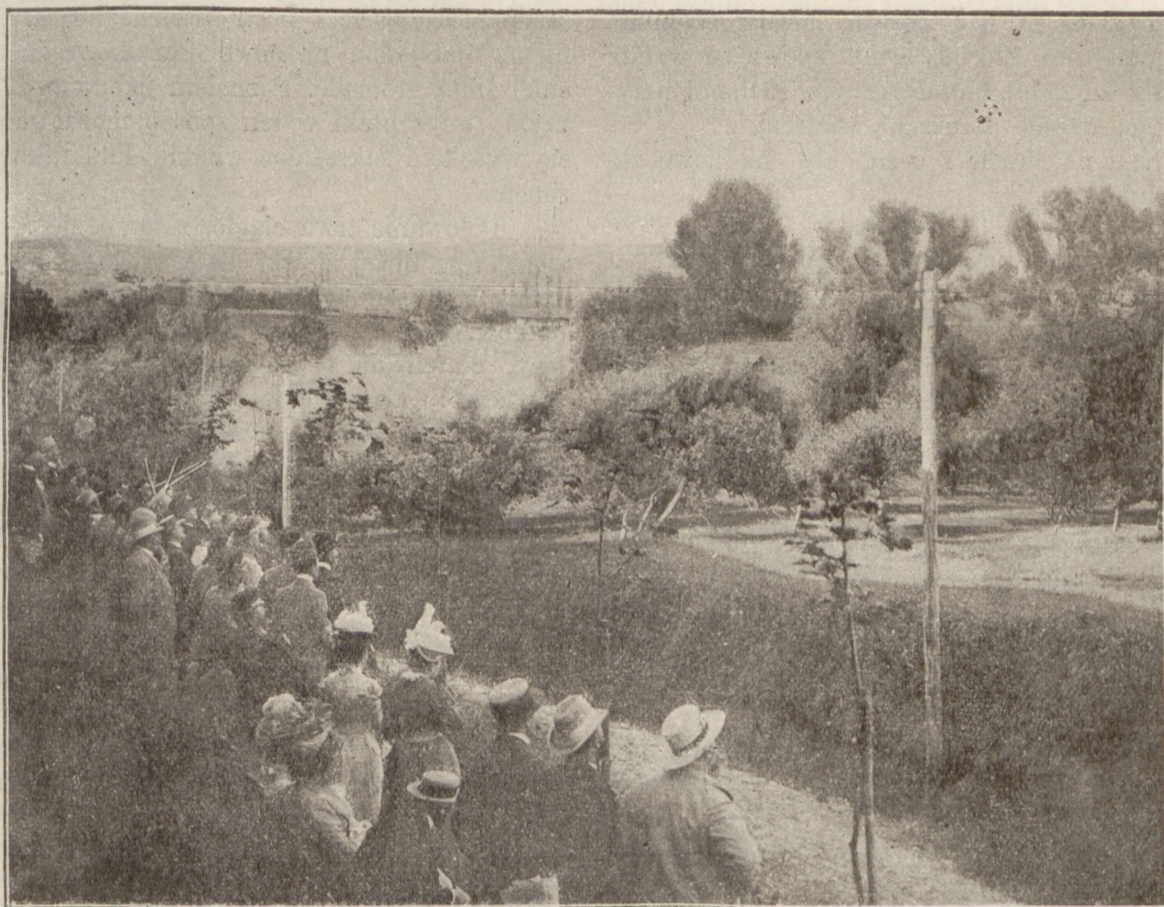
Redakcya.



Polowanie na siewki w południowej Francyi.

(*Z francuskiego*).

Na Caussach*) Montbelskich (w departamencie Lozère) w pobliżu Châteauneuf-Raudon, od lat piętnastu już używam tej rzadkiej przyjemności polowania na górskie siewki.



Strzelanie do kul szklanych na strzelnicy wojskowej we Lwowie dnia 30. czerwca 1899.

Przylatują one do nas w pierwszej połowie września, zatrzymując się zaledwie przez miesiąc.

W początkach września o świcie słyszę gwałtowne pukanie do drzwi. „Kto tam"? „Siewki przyleciały, Panie!"

Ten, który tę radosną nowinę co roku mi przynosi, jest chłopem, mieszkającym u stóp Caussy, która jest zazwyczaj pierwszym etapem podróży siewek.

Spory zapas nabojów Nr. 8, dobrze wytresowany pies i w drogę.

Ranki już chłodne każą przyśpieszać kroku. Myśl, że za chwilę będę strzelał rzadką, a tak ponętną dla myśliwego zwierzynę, dodaje mi sił i ochoty do drapania się po stromej, kamienistej ścieżce. Przerażone wrony trzepoczą się w jesionach, wzlatując i opadając nad naszemi głowami.

*) Kamieniste wzgórza.

Jesteśmy już u celu. Chłop widział siewki siadające na wzgórzu. Postępujemy jeszcze kawałek, pnąc się coraz wyżej.

Na horyzoncie w dolinie Montbel kaskada purpurowego światła zapowiada słońce.

„Myślicie, że są?“ pytam Brosa. „Są z pewnością“, odpowiada chłop.

Kamienie toczą się z pod naszych nóg. Słońce wzbiło się już nad linię horyzontu, kąpiąc wzgórza i doliny złotawym blaskiem.

Drapieżne ptaki zrywają się z sinych szczytów i giną w przestrzeni.

Ta Lozera o niezmiernych obszarach, o twardych, granitowych skałach, surowej martwocie wzgórz, tworzy obraz przepiękny, wstrząsający jednak do głębi swą grozą.

Pies mój sunie melancholijnie za mną, zatrzymując się od czasu do czasu.

„Słuchajcie, Panie!“ woła nagle Bros.

Słucham pełen emocyi i niepokoju. Rzeczywiście, z dala, ze szczytu wzgórza płynie ku nam żałosny krzyk siewek. Raczej świst krótki, smutny, niż krzyk, powtarzany raz po razie, wyraźny lub niepewny, zależy od kapryśnych zwrotów ich lotu.

Nagle ujrzałem je nad głową, leciały sznurem. Było ich najmniej sto. Zleciały w dół, znowu się wzbiły i znowu opadły ku ziemi, fantastycznymi ruchami przypominając długą wstęgę poruszaną wiatrem.

Znikły nam na chwilę z oczu, aby na nowo zawisnąć nad nami.

Lornetką obserwuję ich zwroty.

„Widzę je, siadły“, rzekłem do Brosa.

„I ja je widzę“, odparł Bros, rzucając lekceważące wejrzenie na moje szkła.

Siadły na przeciwnym brzegu wzgórza. Idziemy ku nim bez ostrożności, bez fałszywych podejść, gdyż siewki, przynajmniej u nas w kraju, są ptakami lubiącymi otwartość. Idąc, trzymamy wzrok utkwiony w punkt przez siewki zajęty.

Niektóre kamienie przyczyniają nam gorzkich rozczarowań, gdyż w oddali świecą jakby grzbiety siewek.

Sięgam po lornetkę. Czynność tę przerywa mi wykrzyknik Brosa: „Widzę! widzę! ot tam!“ To „widzę“ przyspiesza bicie mego serca, choć dotąd nie ujrzałem nic.

Częstem bywało u mnie zdarzeniem nadeptać niemal na owe ptaki. Przez szkła wreszcie spostrzegłem szare plamki. Siewki siedziały wśród kamieni, nieruchome, baczne, w kilku rzędach równych jak szwadron żołnierzy, mięszając brunatną swą barwę z barwą terenu. Patrzały na nas spokojnie, żadna skrzydełkiem nie ruszyła.

Widocznem jest, że to ptak o duszy prawej, nie posądzający o złe zamiary człowieka.

Chociaż podróżują razem z czajkami, nie przychodzi między niemi do zwierzeń, gdyż te niepomne czajki, znające widocznie lepiej ród ludzki, byłyby dawno w nie wpoiły nieufność i niedowierzanie. Zbliżamy się. Bros daje znak, półgłosem intonujemy Marseliezę:

Allons enfants de la patrie...

Bros zna i inne pieśni: „Maryo, zamocz twój chleb“....., „Mam nogę i ta się rusza“......, ale są to piosenki za płytkie wobec powagi natury. Od początku wybrałem Marseliezę:

Le jour de gloire est arrivé...

Siewki wyciągają ku nam swe ciekawe główki. Są one bowiem czułe na muzykę choćby przeciętną. Tak twierdzi przynajmniej tradycya ludu tutejszego.

Śpiewano zawsze na caussach. Caussy te są pełne echa i brzmień, jak Helikon starej Grecyi.

Jesteśmy już o 25 metrów od nich oddaleni.

Aux armes citoyens, formez Vos bataillons!

Chodzi o to, aby strzelić razem, dwa strzały paść mają do siedzących, a dwa w lot.

Szukamy oczyma najpokaźniejszej grupy, rachuję: raz... dwa... trzy! Pif! paf! Na ziemi leżą siewki, niektóre po wzniesieniu się padły, inne padają jeszcze, ranne.

Pies, Bros i ja podnosimy ptaki, chwytamy uciekające, a raczej czołgające się, a tymczasem siewki, które z wrzaskiem odleciały, wracają nad pole rzezi, gdzie ich siostry leżą w przedśmiertnych drganiach. Obok mnie podniosła się jedna z rannych i ciężko, z bolesnym krzykiem podążyła do czekających nań towarzyszek.

Młodszym będąc i pełen gorączki, gdy siewki wzruszone nieszczęściem sióstr swoich, wracały krążyć nad niemi, nabijałem na nowo broń i strzelałem w najciaśniej zbitą gromadę. Poznałem jednakowoż błąd tej taktyki, gdyż ptaki w ten sposób mordowane, wzbijały się wysoko i zakrążające wielkie łuki niknęły na horyzoncie.

Polowanie trwa ciągle, z tą różnicą, że im słońce wyżej tem bliżej siewki dają się podchodzić. Prowadzimy z Brosem gorące sprzeczki przy zbliżaniu się do ptaków. Bros bowiem, niezbyt swej strzelbie dowierzający, co chwila swym grubym a monotonnym głosem powtarza: „dalej! dalej! Panie! ztąd strzał nie dojdzie“. Ja zaś stoję uparcie w miejscu i mierzę. A siewki słuchają naszych sprzeczek najspokojniej w świecie, wyciągając nieco szyjki.

Moja torba zaczyna się przepełniać. Ranne ptaki uciekają przerażone po caussie; pies mój uwija się, chwyta je i przynosi do nóg rozpromieniony i dumny ze swej roli.

Około południa z doliny Montbel przez ścieżki, pola, krzaki widzimy nadchodzących chłopów. Idą ku nam uzbrojeni w strzelby, a raczej w jakieś dziwaczne, zardzewiałe instrumenta, plujące w twarz prochem. Jest i szewc naszego grodu i kowal i krawiec miejscowy, wszystkich strzały moje i Brosa zwołały. Idziemy więc parami.

Allons enfants de la patrie.

Wyglądaliśmy jak wolontaryusze 92 roku. Część gromady mierzy do siedzących siewek, inni biją w lot. Causse drży w posadach. Palby grzmią coraz szybsze, coraz gorętsze.

Wśród poważnych głosów zardzewiałej broni moja lankastrówka śpiewa tenorem.

Siewki niestrudzone, wiecznie ufające, podlatują, aby usiąść za chwilę.

Wreszcie siadamy pod stromą ścianą granitu, spożywając z apetytem dary Boże.

Potem grzmią znowu strzały do późnej nocy. O zmroku wracamy obładowani do domku zajezdnego,

gdzie nastąpi podział trofeów myśliwskich. Siewki krzyczą, a głos ich zdaje się żałośniejszy.

Pozostaną one tu do ostatniej. Inne przylecą nawoływane przez nie, zawsze jednakowo pełne zaufania do ludzi.

A caussy przez miesiąc drżeć będą od echa naszych strzałów.

Na przyszły rok powrócą one znowu, już od wieków peryodycznie wracają, tak twierdzi lud Lozery.

O....ka.



Tresura wyżła

napisał

A. hr. Sumiński.

Dokończenie.

Nauka ogólna.



sich lekcyi nie należy nigdy brać lekkomyślnie, to znaczy, gdy ją odbywam, żądam, aby pies wszystko wykonał, co mu się każe i nigdy jej nie przerywam. Nie puszczam nigdy płazem niedokładności, a wszelką krnąbrność karzę. Za to nigdy się nie pastwić! Uczyć psa zabawą to do niczego nie prowadzi, bo pies robi wprawdzie, co mu się każe, ale tylko, gdy w dobrym humorze. Aby zaś był psem kompletnie wytresowanym, trzeba uczyć go seryo, czyli *par force*. Jako pomocy do nauki używa się korali, obróż z kulkami z drzewa, w które nabite są gwoździe tępe (nigdy za ostre), dalej bat krótki lub trzcina, sznur lub pasek i kółko żelazne wbite w listwę podłogi; oto wszystkie przybory. Tresura odbywa się w ubikacyi obszernej, gdzie nie ma o ile możności mebli.

Aby psy nauczyć czystości, należy szczeniaka w razie wypadku, najpierw wykrzyczeć łagodnie i uchwyciwszy za kołnierz, że się tak wyrażę, wyprowadzić na dwór. Za drugim i trzecim razem nawet jeszcze go nie bić, lecz wykrzyczeć i powtórzyć manewr. Gdy znowu mu się wypadek nieczystości zdarzy, a widzimy, że ogon schowawszy pod siebie, kryjąc się, ucieka, a więc wie, że źle zrobił, złapać go znów za kołnierz, przyprowadzić do miejsca zbrodni, umaczać nos i lekko uderzyć batem po zadzie, a następnie wypchnąć za drzwi. Po kilkurazowym takim procederze, coraz to energiczniej karząc za winę, przy częstem wypuszczaniu na dwór, gdy się go jeszcze tutaj za ekspedyowanie pochwali, w krótkim czasie odzwyczai się go od nawyczki.

Aby nauczyć go nazwiska, należy go często niem wołać, a głównie nie zapominać tego robić do jedzenia. Gdy szczeniak kończy dziewięć miesięcy, zaczyna się go tresować, tak mówią podręczniki. Jest to moim zdaniem ostatni czas do tresury. Gdy szczenię zmieni zęby mleczne, można już rozpocząć naukę. Rozpoczyna się to z piątym, szóstym miesiącem, tak, że zazwyczaj w siódmym zęby są już stałe i w porządku. Lekcye odbywać należy codziennie raz, albo dwa, najdłużej pół godziny. Biorę szczeniaka do miejsca, gdzie go tresować będę, do obszernego pokoju, lub sieni, gdzie jestem sam z uczniem i wiem, że nikt mi przeszkadzać nie będzie. Psa drugiego również brać ze sobą nie należy. Włożywszy mu korale, oprowadzam go na sznurku w pokoju i przyuczam do tego, aby po mojej lewej stronie chodził, często odwracam się i zmieniam kierunek spaceru. Pies wtedy ciągle ma zwracać się po lewej stronie i z tej strony chodzić za mną.

Z początku uczę go siadać. Na rozkaz „siadaj“, prawą ręką podnoszę sznur krótko trzymany do góry, a lewą przyciskam zad psa z wolna tak długo, aż nie siądzie. Gdy usiądzie dostaje pochwały. Te składają się z pochwał ustnych, karesów, głaskania, rzadko bardzo nagród w formie chleba, mięsa i t. d. Znów spaceruję dalej i powtarzam „siadaj“. W kilku lekcyach pies się tego nauczy. Gdy już umie siadać, zaczynam lekcyę aportowania. W tym celu biorę kawałek drzewa okrągłego, którego środek obszywa się skórką zajęczą, z boków zaś przetyka się na krzyż po kawałku drzewa, tak że mam kobyłkę na czterech nogach (koziołek). Każę siadać psu, a trzymając go prawą ręką krótko za sznurek, lewą podaję koziołek, równocześnie rozkazuję „aport“. Pies zazwyczaj nie chce wziąć koziołka w pysk, szarpię tedy kilka razy za sznurek prawą ręką, korale działają ściskając gardło, a pies rad nie rad otwiera pysk, w który szybko wsuwa się koziołek, popuszcza natychmiast sznurka, przytrzymuje ręką pysk, aby nie wypluł koziołka i karesuje, powtarzając „aport“. Na słowo „lekko“ odbiera mu się koziołek z pyska dobrowolnie. Tak powoli obniżam rękę, aby pies na aport sięgał głową po koziołek, ale zarazem, gdy nie chce, szarpię go sznurkiem w tę stronę. Nareszcie przystępuję do rzucania kobyłki. Do tego mam nie daleko końca długiej ściany wbite kółko żelazne, przez które przewlekam jeden koniec długiego sznura, przytwierdzam do obroży

(korali), drugi zaś mam w ręku. Rzucam kobyłkę w kąt koło kółka, wołam aport, a równocześnie ciągnę za sznurek, który za pomocą kółka ciągnie psa do kobyłki. Po kilku takich lekcyach pies bez sznurka będzie aportować ze wszystkich stron pokoju przynosząc kobyłkę. Gdyby przypadkiem odmówił, na nowo idzie na sznurek, każę mu aportować z ręki, a potem na sznurek z kółkiem. Gdy już nosi kobyłkę dobrze, znów każę mu brać z ręki a potem rzucam inne przedmioty, jako to: rękawiczkę, kapelusz, bat, obrożę (nie korale), a w końcu dopiero skórki: zajęczą, lisią, borsuczą, tchórza, łasicy i t. d. Teraz już pies rozumie, co znaczy „aport“. Gdy przyniesie mi przedmiot rzucony, każę mu siadać i nie odbieram, lecz odchodzę parę kroków od niego, każę mu tu przynieść przedmiot, a teraz każę „siadaj“ i „lekko“, a dopiero odbieram. Dobrze jest wypchać skórkę zajęczą sianem, tak, aby we środku było zwężenie (jakby figura w pasie), przez co pies nauczy się brać zwierzynę w środku. Teraz zabijam mu wróbla, potem gołębia i na tych uprawiam lekcye aportowania, a na samym końcu dopiero dostaje srokę i wronę. Są psy, które wstręt mają do odoru wrony, a nawet do ptaków błotnych i dzikich kaczek. Naturalnie, że złamać mu trzeba ten wstręt, aby aportował wszystko, co się od niego wymaga. Aportowania pieniędzy, żelaza i szkła moich psów nie uczę; są to sztuczki, których mi na polowaniu nie potrzeba. Czas już teraz na naukę siedzenia w pokoju, skąd mu nie wolno odejść, ani się ruszyć bez pozwolenia. Lekcya w tym okresie tak mniej więcej wygląda:

Wchodzę do lokalu, gdzie nauka się odbywa, biorę psa na pasek, lub sznurek i spaceruję w tę i ową stronę, każąc mu raz po raz siadać. Następnie podaję mu kobyłkę i aport, lekko, puszczam sznurek z ręki, rzucam kobyłkę aport. Przynosi ją naturalnie i siada. Odbieram, rzucam inny przedmiot, to samo się powtarza. Idę znów na spacer po pokoju, on postępuje po mojej lewej stronie, sznurek wlecze się za nim. Każę mu siadać i rozkazuję: „siadaj, zostajesz“. Gdy zrobię krok naprzód, a pies chce iść za mną, krzyknę mu siadaj, „zostajesz“ i oddalam się, spacerując na około niego a nie pozwalając mu się ruszyć. Po chwili przystępuję do niego, głaszczę i wołam za sobą.

To siadanie umacnia w posłuszeństwie. Gdy już siedzi spokojnie, oddalam się na krótko do innego pokoju, lub na dwór, lecz wracam szybko, on musi wciąż siedzieć. Te oddalania powtarzam z każdą lekcyą dłużej wysiadując. Zrobiwszy lekcyę nie dłużej jak przez pół godziny, biorę psa do pokoju mieszkalnego i nie wychodzę zaraz po lekcyi, ani go wypuszczam na wolność. Siedzieć musi w domu i strawić naukę, jak to powiadają. Jest to w tym celu, aby pies karany na lekcyi, zaraz potem wypuszczony, nie miał wstrętu i strachu przed nauką. Dlatego, gdy pies zawini na lekcyi, ukarać go, czy koralami, czy batem, a po chwili znów uczyć i zaaplikować na koniec zawsze coś takiego co umie, żeby módz go pochwalić, ale to naturalnie bardzo pobieżnie. Gdy już to wszystko umie, przystępuję do warowania. Nie należy śpieszyć się z nauką i robić dopiero wtedy coś nowego, gdy dawne umie. Każę mu siadać, a potem „waruj“ i ciągnę mu przednie nogi naprzód, przygniatając ręką głowę do ziemi. Ciągle powtarzam „waruj“. Na rozkaz wstań, lub dosyć, pies wstaje.

Do hygieny psiej należy, aby psa dobrze odżywiać, by rósł i codziennie brać na spacery na sznurku i o ile się to da nie w okolicę, gdzie jest zwierzyna. Gdy posyłam psa z kimś innym na spacer, niech cały czas będzie na sznurku. Sam, gdy idę, co lepiej, puszczam go w polu ze sznurka, aby się mógł wyhasać i wybiegać. Gdy już odbiegnie za daleko, przywołać go należy gwizdnięciem i wtedy musi wracać. Gdy goni małe ptaki, wróble, skowronki pozwolić mu jakiś czas, gdy nie wróci natychmiast, karać za nieposłuszeństwo. Gdy pies nie chce przyjść do nogi, nie gonić go, ani biedz za nim, ale wołając odchodzić dalej, przy tem bata nie chować za plecy. Pies ma widzieć narzędzie kary i w ten sposób postępując zmusza się go do tego, że przyjdzie do nogi. Na takich spacerach dobrze z nim robić lekcye „siadaj, zostajesz“, a samemu oddalać się z każdym dniem dalej. Na gwizdnięcie lub podniesienie ręki, pies ma przybiedz.

Gdy już siedzi, aportuje, waruje, zaczyna apel pojmować, postępuję krok dalej w nauce, ucząc go: szukaj zguby. Nieznacznie rzucam w swój trop, tak, aby pies nie spostrzegł, kobyłkę. Oddalam się na 10—15 kroków, staję, przywołuję psa do siebie, pokazuję mu kobyłkę z miejsca i wołam: „aport, szukaj zguby“. Nazajutrz powiększam odległość i znów szukaj zguby. Gdyby pies nie przyniósł, powrócił z niczem, nie należy go karać, ale rozkazując: szukaj zguby, prowadzę go na swój trop i z nim razem posuwam się ku przedmiotowi szukanemu. Pies, który poprzednich rzeczy dobrze się nauczył, nauczy się szukać zguby w zdumiewająco szybkim czasie.

Na tem kończy się część pierwsza nauki, przy tem pamiętać należy, aby kto inny psa nie psuł, bawiąc się z nim np. słudzy, lub dzieci. To wszystko jednak pies musi umieć doskonale, gdyż to jest podstawą części drugiej, do której teraz przystąpię.

Nauka polowa.

Przy spacerach podczas nauki polowej zawsze broń biorę ze sobą, aby psa do strzału przyzwyczaić. Strzelam naturalnie nabojami ślepymi, z początku słabymi. Przy tem strzelaniu należy psa uczyć siadać natychmiast po strzale, aby nie biegał jak szalony, jak się to często widzi, ale właśnie siedział najspokojniej, póki mu wstać nie pozwolę. Przy tem ćwiczeniu dobrze mieć pomocnika, który strzela, układający zaś, mając psa na sznurku, uczy go spokoju i siedzenia przy strzale. Ma to wielką wartość podczas polowania. Przez takie wybiegiwanie niesforne na strzał, naprzód pies spędzić może stado kuropatw, z których jedna tylko się porwała, a do którychby jeszcze strzelać można, powtóre przy dubletach widzi, gdzie zwierzyna spada. Dopiero posłany znajduje zwierzynę ubitą z łatwością, gdy przeciwnie pędząc rozgorączkowany po strzale na ślepo przebiega koło leżącej kuropatwy i często nie znajdzie jej już wcale. Przypominam łubiny, prosa etc.

Podczas spacerów nie należy chodzić tylko po drogach liniami prostemi, lecz należy często zmieniać kierunek, chodzić w zygzak itp. Jest to niejako lekcya sposobu szukania w polu. Pies nauczy się nietylko szukać prosto przed sobą, lecz w całem polu, a o to prze-

cież chodzi, żeby myśliwy jak najmniej chodził, a pies obszukał wszystko. Mając dwa psy do układania, lepiej jest uczyć każdego z osobna, w pole również nie należy brać ich razem, aby złych nałogów od siebie się nie uczyły, a powtóre pracowały samodzielnie. Dopiero, gdy już apel mają, można je brać razem. Starego psa brać jako mentora również nie radzę, bo znowu od starego młody złych przyzwyczajeń nauczyć się może, a potem biega za nim jak cień, nie działając nic na swoją rękę. Gdy pies już i apel ma i do strzału przyzwyczajony, trzeba go zetknąć ze zwierzyną. Nie trzeba desperować, gdy za zajączkiem pogoni światami, lub spędzi ptaki, nie — młodość, płochość. Wszak to natura, którą on z czasem pokonać musi, tresura nauczy go zapanować nad sobą. Gdy na powtórne gwizdnięcie nie przyjdzie, należy przeczekać, aż powróci, a gdy się ukaże, gwizdać i w skórę dać porządnie. Gdy to raz i drugi nie pomoże, brać go w pole na koralach, na długim sznurze, który ewentualnie przydeptać można, celem powstrzymania go w zapałach. Gdy zając pomknie gwizdać i szarpiąc go przyciągać na sznurze do siebie. Dopiero, gdy się pies uspokoi, zrozumie co złe, czego robić nie powinien, strzelać do zwierzyny na ślepo, aby i wtedy spokój zachował. Młodego psa radzę brać ze sobą wieczorem na stanowiska pod las, gdzie zwierzyna wychodzi, na ciąg słonek na wiosnę, na wychodnego na sarny i wtedy zaryzykować nawet spędzenie sarniuka, ale wymagać spokojnego zachowania się ze strony psa. Pies musi przy nogach pana siedzieć lub leżeć, jak z marmuru. I muchy i komary i szelest nadciągającego zwierza i ukazanie się jego, wszystko to nie ma działać na psa widocznie, ma on być jak z głazu i dopiero wtenczas się ruszyć lub powstać, gdy pan pozwoli.

Miałem psa angielskiego, białego pointera, z brunatnemi uszami i plamką takąż na plecach. Był on znakomitością. Otrzymałem go jako sześciomiesięcznego szczeniaka i ułożyłem sam. Nieraz brałem go ze sobą na stanowisko wieczorem na sarniuka i zachowywał się wzorowo. Często też żal mi go było serdecznie, gdy obsiadły go komary tak, że popielatym się wydawał, a nie drgnął. Wtedy ja po cichu ręką przeciągałem mu po skórze, gniotąc i spędzając miliony komarów, on zaś nie ruszył się, tylko oczami wdzięcznemi na mnie spoglądał, jakby dziękując. Gdym wstał, aby odejść do domu, pies jak szalony wił się i tarzał po trawie, a sierść miał zjeżoną, tak był pocięty.

Gdy woda już ciepła, a pies dobrze aportuje na lądzie, posyła się go do wody, rzucając mu przedmioty pływające do wyniesienia. Gdy nie chce iść, bierze się go na linkę. Należy do tego wybierać wodę, której brzegi nie bystre i woda stopniowo coraz to głębsza, aby musiał pływać. Jedyny to wypadek, gdzie dobrze jest mieć mentora, psa starego, który chętnie do wody idzie. Za takim pies młody odważniej pójdzie. Gdy jednak nie ma ochoty, trzeba go wziąć na dwa sznury, których końce trzyma dwóch ludzi stojących na brzegach przeciwległych sobie. Wrzucam przedmiot do wody i wołam „aport“, równocześnie ci, którzy trzymają linki, wciągają psa w wodę i ciągną regulując do przedmiotu, ja zaś z brzegu wciąż wołam „aport“ i otuchy psu dodaję. Po kilku takich lekcyach i tego się nauczy.

Pozostaje jeszcze jedna także ważna rzecz: praca na tropie. „Szukaj zguby“ w pierwszej części jest niejako preludyum do tego. Tropić można albo za wleczoną zwierzyną, świeżo ubitą, albo za postrzeloną na śniegu, albo na czarnej stopie. Biorę psa na pasek krótko i każę mu szukać zguby, ręką pokazując ślad, ewentualnie głowę mu kierując na trop. Gdy zacznie iść za nim i zbłądzi, pójdzie w bok, cofam się z nim na początek tropu i znów naprowadzam. Tak gdy dojdzie do zwierza leżącego, głaszcze się go i pochlebia mu, a nawet dobrze jest dać mu co zjeść dla zachęcenia. Po kilku takich ćwiczeniach pójdzie i bez sznurka za tropem i odnajdzie zwierza. Tam dopiero szczeka tak długo, aż pan do niego przybędzie.

Co do kar, to nadmieniam raz jeszcze, że nigdy za surowo karać nie należy. A gdy pies widocznie z uporu wykonać nie chce rozkazu, a i baty nic nie pomogły, uciekam się do ostatecznej kary głodzenia. Z początku opóźniam mu obiad o dwie godziny, próbuję powtórzyć lekcyę, gdy nie słucha znów post dwugodzinny, aż upor jego się złamie. Jeść jednak nie należy zaraz dawać, lecz najpierw dać mu się napić wody. Naturalnie podczas tego procederu uwiązany być musi w osobnym pokoju. Strzelanie do psów, gdy gonią, za nieposłuszeństwo jest barbarzyństwem, bo pominąwszy to, że go można okaleczyć na zawsze, nawet zabić, psa takiego czułego można zepsuć strzeleniem na zawsze, tak, że gdy później strzelbę zobaczy, ucieka w ostatni kąt. Gdy pies goni, winien jest zawsze układający, który go nie nauczył apelu. Wszystkie prawie psy w młodości próbują polowania na własną rękę. A gdy jeszcze znajdzie się towarzysz na wyprawę, pies tak się zwlecze, że trudno go od tego odzwyczaić. Stąd pilnować psa bardzo należy, żeby sam w pole nie chodził. Gdy pies w dzień pójdzie w pole, trzeba obserwować jego wyprawę, następnie ustawić po drodze do domu kilku ludzi z batami, a we dwóch zrobić na niego obławę. Złapawszy go w polu, wylatać mu porządnie skórę, a potem puścić; pies ucieka do domu, a od stojących po drodze, dobrze ukrytych ludzi ciągle jeszcze dostaje plagi ciętymi batami. Miałem psa, któremu ta aplikacya pomogła. Szukanie zwierzyny, stawanie, są rzeczy, które mu natura zaszczepiła, więc tych uczyć nie trzeba. Dużo jednak znaczy rutyna. Pies właściwie dobrym jest dopiero w drugiem, trzeciem polu, kiedy nabędzie doświadczenia.

Posłuszeństwo bezwzględne robi psa doskonałym i z takim polować to prawdziwa rozkosz.

Zakończenie.

Za granicą urządza się wystawy psów i triale. Są to popisy psie. Psy do polowania wszelkich ras mogą w nich brać udział, jeżeli mają rodowody, a prócz tego odpowiadają budową i formą warunkom, wymaganym przez księgę psią rodową. Te popisy odbywają się przy sędziach, szacujących wartość psa według punktów. Jest to po prostu polowanie z psem na różną zwierzynę i próbowanie go na wszystkie możliwe, wymagane w konkursie postępy. A więc szukanie zwierzyny, pewność siebie podczas strzału, aportowanie na lądzie i wodzie, posłuszeństwo i ciętość na szkodniki (lisa,

tchórza kunę etc.). Są to znakomite urządzenia, które, wywołując pewną konkurencyę ze względu na nagrody, stwarzają przytem doskonały materyał wyżłów, reproduktorów i matek. Skok takiego kilkorazowego zwycięzcy stosunkowo bardzo wiele kosztuje, a więc jeszcze i zarobek dla właściciela przynosi. I to jest jedyna racyonalna droga do uzyskania świetnych psów.

Jakiego psa komu radzić, to bardzo trudno powiedzieć. Jeden lubi szybkie, drugi powolne, jeden krótkowłose, drugi długowłose i t. d. Kto dużo poluje po bagnach, na wodzie, niech wybiera setery lub długowłose niemieckie.

Angielskie psy czulsze są na klimat i trudniejsze do tresury, to nie ulega wątpliwości. Zarzut, że angielskie psy nie aportują, jest niesłuszny. Psy nieuczone nie przynoszą zwierzyny ubitej. Niemieckie aportują z zamiłowaniem, są to skutki nauki przez pokolenia, angielskie zaś pointery i setery służą w Anglii po części tylko do szukania i odnajdywania zwierzyny żywej, inne zaś psy retrywery, chodzą tylko za nogą i podnoszą zwierzynę ubitą. Niemiecki pies musi robić wszystko i znaleść i wystawić i z wody wynieść i za farbą pójść. Na wielkie obszary anglik może lepszy, gdy przejdzie dobrą tresurę, choć niemieckie dzisiejsze nie są wcale powolne. Dawną powolność niemieckich psów usunięto dziś przez hodowlą. Co do płci, to suka znacznie pojętniejsza i przywiązańsza od psa, za to pies wytrzymalszy i silniejszy. Suka może być bardzo nieprzyjemna, gdy właśnie na sezon kuropatwi się oszczeni.

Konkluzya z tego, że każdy pies jest dobry, każdej rasy, gdy ma wiatr dobry i gdy jest dobrze ułożony.



KORESPONDENCYE.

Rzeszów, 8. lipca.

Choć bardzo pragnąłem, nie mogłem być na Zjeździe łowieckim; z ciekawością też dowiadywałem się od tych, którzy z niego wrócili, o wynikach obrad nad sprawami, wymienionemi w porządku dziennym w N. 12. podanym. Specyalnie interesowała mnie bardzo sprawa założenia klubu hodowli psów myśliwskich, poruszona przez p. dra Szarskiego. Czytając jego doskonały artykuł w N. 12. *Łowca*, zasyłałem mu w duszy wyrazy wdzięczności za poruszenie tej sprawy, a skoro teraz dowiedziałem się, że Wydział Towarzystwa otrzymał polecenie zajęcia się tą sprawą, postanowiłem i ja zabrać głos w rozprawie. Będzie on nieudolny, ale koledzy myśliwi więcej będą na treść uważali, niż na formę, a treść ręczę, że będzie wypływem głębokiego przekonania.

Nie mogę się dziwić, że co jakiś czas pojawia się w *Łowcu* westchnienie tego lub owego korespondenta: „jakie my liche psy mamy“. Skąd mają się te psy wziąć? Na palcach możnaby policzyć myśliwych, którzy mają dobre psy, a jeszcze mniejsza ich liczba stara się przy łączeniu psów o jaki taki ich dobór. Nie zważa się ani na rasę, ani na temperament, ani na stosunek lat i wzrostu, ani na wady lub zalety łączonych — ot, często dopuszcza się do siebie parę psów tylko, że tak powiem, na oko dobranych. Stąd też wynik, że potomstwo takich psów tylko wyjątkowo daje jaki taki materyał, z którego dopiero po ciężkiej pracy uda się coś wydobyć — najczęściej cały pomiot nic nie wart i szkoda zachodu przy ich tresowaniu. *Bon chien chasse „de race“* mówią Francuzi i mają racyę. Z psem, pochodzącym od rodziców dobrych i dobrze ułożonych psów, których tresura nauczyła hamować się tam, gdzie je natura w zupełnie innym kierunku prze, jest przecie o dużo mniej pracy, niż z psem, który nawet wiatr ma niepospolity, ale który z mlekiem matki nie wyssał poczucia karności i wstrzemięźliwości. Cóż dopiero robić z psem, który między najbliższymi przodkami ma np. gończaka i który też rzeczywiście za każdym skowronkiem głosem goni, a zająca bardzo pięknie po godzinie nawróci. Chyba w łeb strzelić. Jest całe mnóstwo myśliwych, którzy widząc jak słabe są rezultaty tresury psów w kraju, bardzo pochopnie spędzają ten ujemny wynik na nasz „charakter narodowy“, który nie ma dosyć wytrwałości i który nie nadaje się do tresury psów. Niemiec jest skrupulatny, systematyczny, gdzie u nas kto potrafi z taką cierpliwością psa uczyć i wytresować, jak to umie leśnik niemiecki lub czeski?“ Bardzo przepraszam, jestem pod tym względem całkiem innego zdania. Społeczeństwo nasze wydawało i wydaje po dziś dzień całe szeregi ludzi wybitnych w zawodach, gdzie więcej wytrwałości i cierpliwości potrzeba, niż do tresowania psów — mieliśmy i mamy znakomitych uczonych, techników, inżynierów, często ciężką pracą i w niezwykle ciężkich warunkach do stanowiska dochodzących, mieliśmy dobrych żołnierzy, znakomitych hodowców, rolników i t. d. — czyżby rzeczywiście tresura i wychowanie psa myśliwskiego miało stać wyżej, niż te wszystkie gałęzie zawodów? Chyba nie. Niech mi więc nikt nie mówi o czemś podobnem, bo nie uwierzę. Uwierzę tylko w jedno, że w innych społeczeństwach nie ma tylu ludzi, którzyby sobie wzięli za zadanie odbierać innym odwagę do jakiegoś działania, jak u nas. Każda rzecz, zdaniem ich jest albo „za wczesną“ dla nas, „jeszcześmy do niej nie dojrzeli“, albo „będzie kosztować“, albo „nie uda się“. Jednym z tych frazesów bez trudności podcinają nogi każdej sprawie, jest to bowiem rzeczą notoryczną, że przy zaczątkach każdego przedsięwzięcia jeden głos zniechęcenia zaważy więcej niż dziesięć głosów zachęty. To tak wygodnie nic nie robić i na nic się nie narażać! Ci, którzy tak mówią, zapominają, że nie od razu Kraków zbudowano i rzeczywiście byłoby to nienaturalnem, gdyby nagle wśród nas powstała taka instytucya, jakich jest mnóstwo obecnie w krajach zachodnich i funkcyonowała tak, jak one tam obecnie funkcyonują. Do tego jeszcze nie jesteśmy dojrzali, ale do rozpoczęcia akcyi w tym kierunku, każdy mi przyzna, że jesteśmy

dojrzali. Ciekawy jestem, czy inne były stosunki łowieckie przed laty pięćdziesięciu w Niemczech, jak obecnie u nas. Rok 1848 wyniszczył kompletnie zwierzynę. Każdy muszkiet gwardyjski, mający właściwie za cel bronić praw obywatelskich, nabity śrutem lub siekańcami „ział“ swoją zawartość na każdą zwierzynę, która pod lufę podlazła. Stan zwierzyny i stan łowiectwa, niegdyś kwitnący, zupełnie podupadł. Ale tam rąk nie zakładano, do zmienionych stosunków zastosowano zmienione środki i dzisiaj stosunki łowieckie pod wieloma, zastrzegam się, że nie mówię pod wszystkimi względami, za wzór nam brać należy. Wtedy powiedziano sobie, że należy na nowo zająć się hodowlą psów myśliwskich, które dawniej, podobnie zresztą jak i u nas w Polsce, miały gniazda wybitnej dobroci. Powiedziano sobie, że dobry myśliwy, a szczególniej zawodowy myśliwy o tyle tylko jest coś wart, o ile dobrego psa posiada i to psa, któryby nie tylko zwierzynę łowną dobrze wystawić potrafił, ale który byłby „cięty na zwierzynę szkodliwą“ i który w ten sposób nietylko przy zabijaniu zwierzyny łownej, ale także przy opiece nad nią panu swojemu był pożyteczny. Zawiązano więc po rozmaitych miejscach stowarzyszenia, zjechano się raz i drugi, kto miał psa, przedstawiającego jakąś wartość, przywoził go i pokazywał drugim, porównywał z innymi psami, w końcu doprowadzono do tego, że dziś kupiwszy psa z dobrego gniazda o udowodnionym rodowodzie, ma się prawie bez wyjątku pewność, że się ma dobry materyał, którego wytresowanie wymaga, jak każda edukacya konsekwencyi i pilności, ale nie może źle wypaść i jest o dużo łatwiejszem niż wtedy, gdy pod ręką ma się materyał niepewnego pochodzenia.

Dlaczegobyśmy do czegoś podobnego dojść nie mogli? Niech tylko Towarzystwo łowieckie zawezwie swoich członków, aby zgłaszali się z chęcią przystąpienia do Klubu, (*Łowiec* może być pośrednikiem oszczędzającym nawet kosztów korespondencyi) a ręczę, że w krótce tylu członków się znajdzie, iż zawiązanie klubu żadnej nie przedstawi trudności. Kosztów chyba żadnych być nie powinno, bo przecie tu nie chodzi na razie o sprowadzanie jakichś wysoko rasowych osobników, lecz chodzi tylko o wybór lepszego materyału z tych psów, które nam obecnie służą. Przy Zjeździe, może nawet jeszcze nie przyszłorocznym, możnaby urządzić egzamin zgłoszonych psów. Nadzieja nagrody może niejednego z fachowych leśników zachęcić do skrupulatnego wytresowania swojego psa, a skwalifikowanie pochlebne psa nie będzie też bez materyalnej korzyści, bo i skok takiego wzorowego psa coś przyniesie i szczenięta po psie i suce wzorowej bardzo przyzwoity dać mogą dochód dla fachowego szczególniej leśnika. Z małych początków dochodzi się do rzeczy wielkich, ale nigdy nie należy się ociągać z początkiem — dla tego też jak najgoręcej popieram myśl p. Szarskiego i proszę Wydział Towarzystwa, aby sprawie tej nie dał upaść, lecz z całą energią, jaka jego prace od czasu reorganizacyi cechuje, sprawą tą się zajął. *Pauliatim summa petuntur*“ — ale raz rozpocząć trzeba.

Jeszcze na jedno zwrócę uwagę. Jeżeli myśl poruszona tu znajdować będzie coraz szerszy odgłos, każdy z myśliwych posiadający psy, będzie zwracał choć w części uwagę na sprawę ich mnożenia się. Pies dobry będzie jako reproduktor szanowany — w czasie więc krytycznym nie pozwoli mu właściciel bawić się w Don Juana po wsi i płodzić pokurczów, które nam potem w polu tyle złego wyrządzają i które „rzecz dziwna“ taki dobry wiatr posiadają. Suce też nie pozwolimy zapatrzyć się na jakiegoś podwórzowego kundla, a gdy się oszczeni, oczywiście po dobrym psie, nie pozwolimy na to, żeby sobie porozbierano pieski, gdzie i komu się podoba, ale poumieszczamy je należycie, bo one niewątpliwie wartość, niekiedy dość znaczną, będą posiadały. Rasa wiejskich, podwórzowych psów zostanie czystszą, a to z pewnością przyczyni się więcej do rozmnożenia zwierzyny, niż przy dzisiejszych mieszańcach kundla z legawym lub jamnikiem. Zdaje mi się, że i ta okoliczność nie powinna być lekceważoną. *S.*

Krzywcza nad Sanem, w czerwcu 1899.

Zacięty niszczyciel drobiu.

Stary mykita znęcił się do drobiu strażnika lasowego i ze szczególną gorliwością pracował nad doszczętnem wytępieniem tego uskrzydlonego dobytku gajówki. W tym celu był codziennym gościem na podwórzu przy gajówce, a stoczywszy wpierw zaciętą walkę z małą, czujną suczyną, porywał jedną kurę i uchodził w pobliski las. Często zdarzało się, że powracał kilkakrotnie tego samego dnia po drugą sztukę, lecz najczęściej uważająca już tego dnia żona gajowego wypędzała go kijem z podwórza i poszczuła psami — a wtenczas lis usuwał się, wcale się nie spiesząc, na brzeg lasu i tutaj wyzywał odważniejszą sukę do walki, w której zawsze ta ostatnia pokonaną została i skaleczona w nos lub łapę wracała ze skomleniem do domu.

To, co tu napisałem opowiadał mi gajowy i jego żona, tłumacząc mi w ten sposób pokaleczenie swoich psów. Ze śmiechem zarzucałem im kłamstwo i rzecz tę traktowałem jako nieprawdopodobną, nie mogłem bowiem przypuścić, aby lis walkę z psami toczył, mając pole otwarte do ucieczki. Byłbym do tej chwili pozostał przy tem mojem przekonaniu, gdyby zbieg okoliczności nie zrządził, że stałem się naocznym świadkiem tego faktu.

W niedzielę dnia 28. maja b. r. po południu udałem się na przechadzkę drogą do gajówki i za zbliżeniem się do niej, zauważyłem na podwórzu jakiś niezwykły niepokój, bieganie i lament żony gajowego za dwiema świeżo przez lisa porwanemi kurami. Na jej krzyk wybiegł gajowy z chaty, a za nim mała suczyna jego, która w jednej chwili wbiegła do leżącego nieopodal lasu i głośno naszczekując, a często skomląc, zwabiła swym głosem drugiego psa, młodego kundysa, poczem rozpoczął się duet, przerywany często bolesnem skomleniem. Na miejsce to, odległe od domostwa o jakie 150 kroków, udałem się z gajowym natychmiast, celem zbadania coby ta muzyka znaczyć miała. Z odległości 20-tu kroków przypatrywaliśmy się ciekawej scenie. Koło kępy gęstego podrostu bukowego leżały dwie świeżo zamordowane kury, które lis z podwórza po jednej wyniósł, obok nich dwa psy zacięcie naszczekiwały, postępując naprzód w podrost i co chwila cofając się z przerażeniem, odpierane przez głośno parskającego lisa, który aż na czyste miejsce za nimi skakał.

Gajowego posłałem do domu po strzelbę; niebawem przybył ze swoją sławną kapiszonówką, a wziąwszy lisa na cel sześć razy kłapnął, poczem wrócił do domu po świeżą kapslę, podsypkę i szpilkę do przebicia kominka. Lis tymczasem był dalej psami zajęty i to właśnie wypadło dla niego fatalnie, albowiem gajowy przybył w końcu

ze świeżą kapslą i przyborami, poczem wypalił i pozbawił życia zuchwałego rozbójnika. Był to tęgi, stary lis i dlatego widocznie ufał tak w swe siły, stawiając tak zacięty opór psom, które i z tej walki wyszły okryte w kilku miejscach ranami od jego zębów.

Jest to istotnie fenomenalny wypadek waleczności, tak zazwyczaj tchórzliwego drapieżcy. *M. K.*

Ruda (pod Radłowem), 23. czewca.

Nie mogąc się doczekać, ażeby z naszych stron pojawiło się jakieś sprawozdanie, donoszę wprost szanownej Redakcyi o rezultatach ubitej zwierzyny szkodliwej i pożytecznej w lasach radłowskich, należących do p. Henryka Dolańskiego, z góry się zastrzegając, że wykazana zwierzyna pożyteczna jest ubita na podjazdach, na dwudniowem polowaniu w lasach i jednodniowem polowaniu na polach dworskich, na polach zaś gminnych, dzierżawionych od czterech gmin, z polecenia właściciela nie wolno było ustrzelić ani jednego zająca, ani kuropatwy.

Zwierzyna szkodliwa została przeważnie przez personal lasowy ubitą. I tak od 1. lipca 1898 do 15. czerwca 1899 zastrzelono rogaczy 68, zajęcy 186, kuropatw 31, słonkę 1, lisów zastrzelono 18 a 17 młodych wykopano, razem 35, psów 29, kotów 12, łasek 7, jastrzębi dużych 7, małych 11, kruka 1 i 177 srok i wron. Strzałowego wypłacono za powyższą zwierzynę leśniczym rewirowym 167 zł. 75 kr.

Jest nadzieja, że tak zajęcy, jakoteż i kuropatw będzie mnóstwo na przyszły sezon polowań, u sarn nie pokazały się żadne choroby, oprócz znalezionych kilkunastu kóz, które pozdychały ze starości, nie skonstatowano żadnego ubytku, sarny miały przeważnie po dwoje sarniąt. Młode sarnięta widziano bardzo wcześnie, bo nawet już przed 25-tym maja.

Ciąg słonek całkiem nas zawiódł i na wiosennym ciągu ani jednej nie strzelono, a tylko kilka słyszano.

Polowania tego roku wcale nam się nie udały, gdyż pierwszego dnia t. j. 16. stycznia padał deszcz ze śniegiem, z czego się okiść porobiła i w młodnikach piętnastoletnich nagonka absolutnie przejść nie mogła. Dwa najładniejsze mioty zepsuły się zupełnie. Drugiego dnia t. j. 17. zerwał się ogromny wicher od południa, a naganka w niższych miotach brodziła czasem po kolana w wodzie. Rezultat jednak i tak był jak na taki czas pokaźny, gdyż ubito 13 rogaczy, 66 zajęcy, 5 lisów, razem 84 sztuk, na które dano 237 strzałów.

Karol Scherautz.



Kronika.

† **Dr. Henryk Szydłowski**, b. członek Wydziału Towarzystwa, zmarł w 45 roku życia d. 6. lipca 1899. Zmarły był bardzo czynnym przy reorganizacyi Towarzystwa w ostatnich latach dokonanej; był on autorem i referentem nowego statutu Towarzystwa.

† **Dr. Tytus Lemer**, długoletni nasz członek, ceniony i powszechnie poważany lekarz, zmarł d. 6. lipca w Sanoku, przeżywszy lat 48.

Pokój ich popiołom!

Składki na rzecz chorego H. K. Hr. Stanisław Grocholski złożył na ten cel 5 zł.

Nasze ilustracye. Zamieszczona w niniejszym numerze ilustracya przedstawia scenę ze Zjazdu łowieckiego, a mianowicie ze strzelania popisowego na strzelnicy wojskowej. Rycina przedstawia uczestników Zjazdu biorących udział w strzelaniu do kul szklanych.

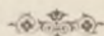


Kalendarz łowiecki.

Lipiec.

W lipcu wolno polować na kozły, ptactwo błotne i ptactwo wodne.

Dziki, połączone w trzody, czynią obecnie szkody w polach pod lasami znajdujących się. Można na nie czynić zasadzki. Udają się także zasadzki na lisy, które wyprowadzają się obecnie w zboża.



Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redakcya: Lwów, ul. Karola Ludwika l. 1. Redaktor odpowiedzialny: Edmund Kolbuszowski.
Z drukarni „Słowa Polskiego“ we Lwowie — pod zarządem Z. Hałacińskiego.